

TUBYLCZA NIEMA

Właściwie to nie była całkiem jego szafa. Chociaż częściowo – na pewno tak. Ale nie całkiem, czyli nie od początku do końca, nie od zawsze i – jak się miało okazać – nie na zawsze. To była szafa poniemiecka i zabytek w użyciu. I była to szafa na pewno tutejsza. Podobnie jak i on, chociaż nie tak samo. Bo on też był tutejszy – gdy trafiła do niego ta szafa… poniemiecka, porządna, bo dawniej to się robiło, jak się robiło, wiadomo.

Przetrwała wojnę i wiele lat powojnia, zanim naprawdę śmiertelnie zagroziła jej aż tak radykalnie dzisiejsza nowoczesność, która bardziej zdecydowanie i bezkompromisowo niż którakolwiek codzienność przed nią, siebie jedynie mając na względzie, jakby już ani trochę nie chciała oglądać się za siebie.

– Ja rozumiem, że sentyment, i że zabytek, ja to wszystko rozumiem – powiedział pan, którego firma nie po to jednak powstała, żeby grzebać się w przeszłości i „rozumieć", ale po to,

żeby ludziom dzisiejszym wyjść jak najbardziej naprzeciw, ich wygodę i dobre samopoczucie mając przede wszystkim na względzie, i w związku z tym własny zarobek za zaspokojenie tych ich potrzeb, które oni czują jako najbardziej potrzebne i sensowne… dla nich. – Ja to wszystko rozumiem. I prywatnie panu powiem, że sam chciałbym coś takiego mieć u siebie, bo to ładna rzecz, na pewno. Ale miejsca nie mam na to. A tutaj… no, najemca mówi, że jej nie chce. Bo stara. I że jakieś korniki w niej pewnie są, jak taka stara. No… – Uśmiechnął się czarująco, że rozumie przecież, ale co poradzić: jest, jak jest. – Nie chce po prostu i już. I co zrobić, jak nie chce? I mamy kłopot – z tą szafą. Bo tak poza tym, to najemca jest już zdecydowany…

Rozumiał albo i nie rozumiał. Mniejsza o to. Był tutaj przede wszystkim w pracy – jako pośrednik i fachowiec od wynajmu. I musiał być w swojej roli profesjonalny. Dlatego musiał mu powiedzieć, że „rozumie". Równocześnie jednak musiał przecież także najemcę i jego życzenia mieć na uwadze. A najemcy szafa „nie pasowała".

– Ale to przecież „hitlerowska IKEA", można powiedzieć. I zabytkowa rzecz. Bardzo! – Próbował uratować mebel przed zagładą. I dlatego mówił o tym tak, jak się tutaj, gdzie rozmawiali, od dawna przyjęło mówić o tego typu rzeczach, niby minionych, ale wciąż obecnych jakoś, niby bardzo wczorajszych, albo i przedwczorajszych nawet, i niby już nie z tego świata, ale wciąż tutejszych – choćby tylko siłą bezwładu. I wiedział, że tak mówić może, bardzo w zgodzie z etosem… tutejszym: niby żartem, ale też i z uznaniem dla dawnej sztuki. – I to jeszcze z czasów, gdy ani Ikei jeszcze nie było na świecie, ani może nawet i Hitlera… jeszcze. Niemiecka robota, która dała radę! Z czasów – że tak powiem – którym jeszcze nawet nie śniły się nasze czasy. Czyli taka, można by rzec, „jeszcze bardzo przed-po-niemiecka nawet"…

Starał się, chociaż wiedział, że sprawa jest bardzo niełatwa, właściwie beznadziejna: najemca był widocznie już z innych czasów i innego etosu, i opowieści o poniemieckiej jakości, nawet gdyby mu je godzinami opowiadać, już nie zadziałają na niego należycie. A w każdym razie nie tak, jak jeszcze kiedyś tutaj działały – na tutejszych, którzy mieszkali w mieście, z którego wcześniejsi tutejsi wyjechali albo zostali do wyjazdu przymuszeni. Ale po których zostały różne sprzęty codziennego użytku, mniejsze i większa, wszystkie tutejsze, talerze, noże,

pianina i szafy… Te wszystkie pozostałości, rzeczy, których zabrać ze sobą albo nie mogli, bo za duże, albo nie zechcieli – bo za zwyczajne. A o których dopiero potem może myśleli nieraz i lubili myśleć – z nostalgią; i w ten sposób, chociaż jako wspomnienie tylko, wciąż one jakoś do czegoś im służyć mogły… A tymczasem kolejni tutejsi wciąż mieli je „w użyciu" i chociaż jako nie swoje, przywłaszczali je coraz bardziej. I w ten sposób zastana na miejscu szafa poniemiecka w niejednej rodzinie, która tutaj po wojnie znalazła się jako transport zza Buga, stać się mogła po latach pamiątką prawdziwie rodzinną.

– A ja – przyznał prawie zawstydzony – zabrać jej tam, dokąd wyjeżdżam, nie mogę. Tam dla niej – miejsca nie mam. – Wzruszył ramionami bezsilnie. – Niestety. A poza tym – dodał od razu, jakby chciał siebie w ten sposób dodatkowo usprawiedliwić – ona przecież jest tutaj u siebie. Tutejsza jest, od zawsze. I może nawet sama nie chciałaby nigdzie stąd wyjeżdżać, gdyby ją o to spytać, prawda?

Z szafą o jej podróżach ewentualnych chciałby rozmawiać! I o emigracji… prawie pośmiertnej.

Fachowiec od najmu mieszkań, który żywych i dzisiejszych ludzi miał przede wszystkim za klientów swoich, nie dał po sobie poznać ani trochę, że to jednak dziwne – chcieć z szafą poniemiecką rozmawiać i pytać ją o zdanie…

– No – uśmiechnął się – może i tak… Może i nie chciałaby…

Bo była tu przecież od zawsze. Ludzie mijali, a ona – była wciąż, trwała. Nawet jeśli jej pierwszy właściciel specjalnie ją tu sprowadził może aż z Breslau, kiedy na mapie nie było jeszcze Wrocławia, albo jeszcze skądś dalej, ona właściwie od urodzenia, jako szafa na rzeczy ludzkie i dla ludzi, całe swoje życie tu była. I czy trzymano w niej najpierw *die Kleidungen* czy potem ubrania albo ciuchy, ona – zawsze robiła to samo. I czy jako *ein Schrank* czy jako szafa – była dla ludzi. I była ładnie i solidnie: bo zrobiono ją w czasach, gdy robiono ładne rzeczy – i solidnie. A dopiero potem przyszło to, co w historii najgorsze – wojna i zabijanie. A po niej złość i żal – i powojnie. Ale i to powojnie, najpierw powoli, ale z każdym rokiem jednak coraz bardziej – stawało się znowu życiem po prostu. I jakoś się żyło przecież – jak zwykle.

I żyła też szafa.

Przeżyła szczęśliwie nietknięta (to znaczy: miała szczęście tak przeżyć) pierwszy chaos. Bo nie była widocznie aż tak hitlerowska, żeby paść od razu ofiarą mściwego wyrównywania rachunków wojennych ze strony tych, którzy weszli tu po drodze do Berlina, gdzie najbardziej docelowo chcieli zanieść swój gniew i zemstę: żeby zrobić Niemcom całkiem „hitler kaputt". Tak jak widocznie hitlerowskie były inne części wyposażenia domowego, z którymi ich dotychczasowi użytkownicy nagle sami postanowili się rozstać. Choć raczej nie dlatego, że oto tak nagle sami zechcieli odważnie i bezkompromisowo rozliczyć się ze złą przeszłością, która ich „oszukała i wpakowała w tę wojnę", ale po to, by dzięki temu dać niepewnej przyszłości (i sobie w tej przyszłości) chociaż cień szansy na to, że nie okaże się ona całkiem najgorsza – dla nich. Na rzece płynącej przez miasto miał ponoć wtedy miejsce istny „wielki spływ Hitlerów"! Portrety, które dotąd mieszkały sobie po domach, zostały nagle z tych domów wyrzucone. I płynęły te Hitlery, spływając… i nie rozsławiając niczyjego imienia. Było tak, albo i nie było – nie ma na to dziś żadnych twardych dowodów, ani na to, że faktycznie tak było, ani na to, że na pewno nie było. Nie ma żadnych zdjęć ani filmów wtedy zrobionych – o tym. Bo kto niby i jak miałby mieć głowę do tego, żeby je robić – wtedy i akurat o tym? Faktycznie powstała natomiast pogłoska, która potem o tym mówiła (w wersji ostrożnej: „tak ponoć było", albo w wersji mniej nieśmiałej: „tak było!") i której chętnie dawali posłuch nowi mieszkańcy poniemieckiego miasta: oto jak Niemcy na koniec sami chcieli się „odnazyfikować" – dość głupio a jeszcze bardziej ze strachu – że niby oni i Hitler… to się właściwie wcale nie znali, nawet z widzenia. A te portrety po rzece płynące, to – oni nie wiedzą skąd się tam wzięły, ale na pewno nie z ich domów.

Szaf jednak nikt nie myślał w ten sposób wyrzucać ze swojego domu. A przynajmniej nie mówiła o tym żadna pogłoska ani „wspomnienie prawie z pierwszej ręki". Podobnie jak nie słyszało się, żeby na szafach chcieli brać odwet zdobywcy miasta. Cóż bowiem szafa, choćby i najsolidniejsza! To w końcu jednak tylko szafa – ani zabytek jakiś, ani zbytkowne dzieło sztuki, bez przesady: to jednak tylko szafa.

Co innego tutejszy teatr i jego faktyczność nie do niezauważenia: jak go pomyślano i jak go faktycznie zbudowano. To było coś zdecydowanie za nowoczesnego i za porządnego, tak

jeśli chodzi o pomysł, jak i o wykonanie, i dlatego zdobywcom mogło się wydać w sposób wręcz obraźliwy dla nich… za niemieckie. No to spalili teatr. Już po zdobyciu miasta a nie, jak to się mówi, „po prostu podczas walk, niechcący". Nie, spalili teatr bardzo „chcący", trochę dla zabawy i po pijaku może, ale jeszcze bardziej chyba dla zemsty: żeby niemieckością swoją nie kłuł w oczy. Tak przynajmniej mówiła o tym pogłoska tutejsza – po latach. Sam teatr, a właściwie to, co z niego pozostało po spaleniu zostało z czasem po prostu zasłonięte parkanem, obok którego przechodząc przez środek miasta mógł człowiek nie widzieć, co jest za nim; a były wypalone ruiny – przez lata – tuż powojenne. A deptak, którym się szło obok tego parkanu, nazwano Aleją Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, także na znak oficjalnej wdzięczności polskich teraz mieszkańców tego przez długie lata niemieckiego miasta wobec dzielnej armii radzieckiej, która to miasto dla tej ludności zdobyła, a nawet – bo i tak mówiono o tym fakcie – wyzwoliła. I oficjalnie milczano o tym, co jest za tym parkanem, a jeszcze bardziej o tym, dlaczego „to" jest w takim stanie. I oczywiście nie dawano pola pytaniom o podpalaczy, kim byli i dlaczego to zrobili, ani o to, co się „tu kiedyś naprawdę wydarzyło" – bo to były pytania przeciw-przyjazne. Ale była obok oficjalnej narracji także pogłoska, im mniej oficjalna, tym bardziej żywa. „To Ruscy ten teatr spalili… nam" – tak coraz częściej mówili po polsku coraz bardziej powojenni mieszkańcy o tym, co się zdarzyło zaraz „po wyzwoleniu" w coraz bardziej przecież ich mieście – i kto im to wtedy zrobił! Ale to było dopiero potem, później i nie od razu po wojnie. Od razu po wojnie był chaos, w którym wszystko i kończyło się i zaczynało – równocześnie.

Szafie jednak nic aż tak złego się wtedy nie przydarzyło, gdy kończyła się tu Trzecia Rzesza, w miejsce której miała nastać Polska Ludowa. A potem…

A potem żyło jej może nawet dużo łatwiej niż mogła się tego spodziewać na początku. A dokładniej mówiąc, na początku nowego, który był także końcem tego, co było wcześniej – codziennie i mimo wszystko dość stabilnie. Bo czasy, szczęśliwie dla niej, które nadeszły, były niełatwe – dla wszystkich. I dość biednie – się żyło. Ona w tych okolicznościach, skoro udało jej się nie paść przypadkową ofiarą zmarzniętych żołnierzy, którzy po drodze na Berlin mogli ją wziąć

przecież na opał do ogniska, przy którym grzali się (może dodatkowo zagrzewani od środka tym, co udało im się znaleźć w okolicznych gorzelniach), zanim poszli dalej, i skoro udało jej się następnie nie zostać stąd porwaną „do Polski" w ramach szabru – jako najpierwsza i spontaniczna reparacja wojenna – mogła znowu być po prostu szafą, solidną i bardzo użyteczną. A jako taka, solidna i użyteczna, mogła ona być znowu doceniona – jako solidna i użyteczna. I właściwie bezkonkurencyjna: bo ci, którzy tu przyjechali albo zostali przywiezieni, żeby mieszkać i żyć na miejscu tych, którzy stąd wyjechali albo zostali wyrzuceni, za wiele mebli ze sobą nie mieli. A najczęściej nie mieli ich wcale.

I może już wtedy i właśnie tak, powoli i nie od razu widocznie, zaczęło się to dziwne coś, co wiele lat później – gdy szafie zagroził naprawdę marny i definitywny koniec – pozwoliło mu, w rozmowie z fachowcem od pośrednictwa w wynajmie, użyć tego określenia, które, jak mniemał i nie mylił się przecież, tu akurat było całkiem na miejscu i stosowne, i nie miało ono wcale – jak mógłby powiedzieć ktoś bardzo oficjalnie ogólnie i ideologicznie bez cienia wątpliwości, pryncypialnie – „charakteru jawnej deklaracji pronazistowskiej, faszystowskiej, antyeuropejskiej i… generalnie nagannej i absolutnie nie do przyjęcia":

– Ale to przecież „hitlerowska IKEA", można powiedzieć…

Bo, po pierwsze, powiedział to w rozmowie bardzo prywatnej (dając ogłoszenie w internecie, bo w prasie już takich się od dawna nie daje, o możliwości wynajmu mieszkania, na pewno nie napisałby w nim, zachwalając ofertę jako tym bardziej atrakcyjną, że na stanie jest szafa jako „hitlerowska IKEA"), a po drugie – powiedział to jako jeden tutejszy drugiemu… też tutejszemu.

Tam, dokąd wyjeżdżał a dokąd szafy ze sobą zabrać nie mógł, już tak zwyczajnie tego samego powiedzieć by nie mógł… raczej. Chyba że w ramach… prowokacji – i jako wstęp do dłuższej rozmowy o specyfice regionu, z którego tutaj przyjechał. Zresztą, bez większej wiary w powodzenie swojej misji: że uda mu się skutecznie wytłumaczyć, na czym w istocie polega przynależność do tak zwanej, jak sam kiedyś to nazwał i polubił tę nazwę od razu, „polskiej mniejszości poniemieckiej", do której on sam czuł się jakoś przynależny, nawet jeśli niechcący, to i tak przecież… faktycznie. Bo też, na dobrą spra-

wę, kogo to tutaj mogłoby tak naprawdę interesować? W Rzeszowie „kwestia poniemieckości" – to w najlepszym razie dość abstrakcyjne i w sumie niepotrzebne gadanie właściwie o nie wiadomo czym. A w najgorszym – właściwie pochwała Niemców w ogóle. A jeśli tak – to i Hitlera pewnie. A więc – mówiąc najkrócej – to „bycie Niemcem po prostu… tak naprawdę; nawet jeśli mówi się, że się nim nie jest".

Poniemieckość rozumiana jako swoista „wartość dodana" (i dodatnia) powstać mogła tymczasem nie dzięki Hitlerowi – ani trochę! – ani nie wyłącznie przez Niemców, którzy tyle swojej niemieckości czysto użytkowej tutaj zostawili do użytku nowych mieszkańców tej ziemi (którą oficjalnie wciągnięto pod wspólną nazwę „Ziemie Odzyskane", a której to nazwy niektórzy do dziś używają: bo lubią, albo po prostu z przyzwyczajenia). Poniemieckość jako znak jakości – powstała też przez pe-er-elowską bylejakość. Po prostu rzeczy, które tutaj „zostały po Niemcach" – były często dużo lepsze niż to, co można było dostać (a jeszcze częściej – czego nie można było dostać) w sklepach „polsko-ludowych" i od Polski Ludowej w ogóle, od szaf począwszy, a na mieszkaniach kończąc. I nie musiał być przecież żadnym Niemcem („tak naprawdę – nawet jeśli mówił, że nim nie jest") ktoś, kto wolał tutaj mieszkanie mieć nie w bloku, ale właśnie – „w poniemieckiej jakiejś kamienicy".

A jakimi niby Niemcami (znowu: „tak naprawdę – nawet jeśli…", i tak dalej) byli ci, którzy tutaj trafili na mocy wyroku historii, który ich dotyczył, chociaż oni osobiście najczęściej akurat nic złego tej historii nie uczynili, żeby teraz tutaj mieszkali, a nie tam, gdzie mieszkali dotychczas – u siebie w domu? I czy na tym polegało ich teraz bycie Niemcami, że jeśli wcześniej pracował któryś z nich na poczcie, to teraz, w nowym miejscu, mieszkanie (oczywiście w poniemieckiej kamienicy, bo zaraz po wojnie nie było tu jeszcze żadnych „pe-er-elowskich bloków") wolał mieć możliwie najbliżej tutejszego jeszcze do niedawna *Postamtu*: bo teraz tam też będzie poczta pewnie? Albo jakim niby Niemcem (i nawet jeśli nie całkowicie hitlerowcem, to co najmniej jakby kolaborantem… po wojnie) był ten, który wcześniej u siebie miał zakład fotograficzny, albo tylko pracował w takim zakładzie, marząc skrycie o tym, żeby kiedyś mieć własny zakład, jeśli teraz, na nowym miejscu, upatrzył sobie poniemiecki taki zakład i znalazł spo-

sób, żeby nowa władza mu go przydzieliła – i w nim zaczął urzędować, biorąc w wieczysty leasing wszystko, co po poprzednim fotografie tu zostało? I przez lata właściwie nie zmieniał wystroju wnętrza, jeśli chodzi o meble i w ogóle, bo nie widział takiej potrzeby: bo przecież solidne to wszystko było, co tu zastał, a już na pewno solidniejsze niż to, co mógłby dostać w sklepach… jako nowe, choć przez to wcale niekoniecznie lepsze. I tak rok po roku, przez niego używane, to co poniemieckie stawało się coraz bardziej… jego. A przy okazji – także coraz bardziej historyczne, zabytkowe i niemal antyczne (a cały czas na chodzie!), przez co przecież tylko zyskiwać mogło jeszcze bardziej na wartości.

– Ale to zabytek przecież! – Nie wiedząc, jak uchronić szafę przed zagładą, powtarzał wciąż to samo i jakby od nowa, na różne sposoby. – A pani od was mi pisze w mailu: „Czy możemy tę szafę wystawić na śmieci wielkogabarytowe?". – Zrobił minę, jakby naprawdę chciał się rozpłakać, zrozpaczony. – No, nie… Niech pan sam powie: to przecież… grzech!

– Nie, no oczywiście, że nie! – Usłyszał w odpowiedzi to, co chyba bardziej on sam chciał usłyszeć, niż odpowiadający naprawdę i szczerze myślał o tym całym kłopocie. Bo dla odpowiadającego był to bardziej właśnie kłopot – kłopot z szafą i z jej właścicielem, który ani nie chciał pozwolić jej na śmieci wyrzucić, ani nie mógł, jak powiedział, zabrać jej ze sobą. – Ale, sam pan przyzna, że kłopot trochę jest…z tą szafą. – Nie po to jednak był fachowcem w swojej branży, żeby nie wiedzieć, co powiedzieć w tej sytuacji. – To, wie pan co – powiedział – może zrobimy tak, że po prostu my ją wystawimy w internecie. Ale jakoś tak… nie za drogo. To może ktoś się znajdzie chętny. Bo – widząc, że prowadzi sprawę ku dobremu końcowi, chciał zakończyć ją jak należy i zgodnie z zasadami sztuki obowiązującymi w takich razach – ma pan oczywiście rację: to naprawdę ładna rzecz.

– Może być nawet za darmo. Byle tylko ktoś ją zechciał i żeby na śmietnik nie poszła…

***

Minął jednak tydzień, minął drugi, już zaczął mijać trzeci – i nic. Najemcy już wzięli lokal w swoje używanie, zaledwie tolerując szafę, która choć z „rozkazem wyjazdu", wciąż jednak była tam – z nimi. A na ogłoszenie w internecie – nikt nie

reagował. I jakby naprawdę nie było nikogo, kto chciałby ją chcieć.

– No, mamy wciąż kłopot z tą szafą – usłyszał w słuchawce. – Żadnej reakcji…

Był już tym bardzo zmęczony. Zmęczony był tą tyle już trwającą własną wyprowadzką stamtąd, podczas której musiał rozstać się z niejedną swoją rzeczą, wydając ją na zatracenie, a potem starając się zapomnieć o tym czym prędzej, i która już kilka razy wydawała się skończona, ale potem okazywało się, że wciąż jednak jest jeszcze coś do zrobienia i że tego lub tamtego też jeszcze musi się jakoś pozbyć, a teraz właściwie już tylko przez tę szafę pozostawała sprawą nie zamkniętą. Bo właściwie naprawdę już tylko ta szafa stamtąd wciąż zajmowała go i nie dawała spokoju, mimo że jego już tam nie było przecież. Zrezygnowany, poczuł, że gotowy jest poddać się zdalnie i ostatecznie, i przez telefon przychylić się do wyroku, z którymi wcześniej nie chciał się zgodzić: „O'kej, niech pójdzie na śmietnik… jeśli tak" – byle tylko już było po wszystkim! Byle tylko mógł wreszcie zamknąć za sobą te drzwi – na amen. I było mu z tym źle, że gotowy jest zrobić to, czego szczerze zrobić by przecież nie chciał: wydać szafę na śmierć.

– Naprawdę? – odpowiedział na to pytaniem. Choć wiedział przecież, że w ten sposób tylko żałośnie odpycha od siebie to, co i tak mu nie ustąpi, a przed czym on bronić się już nie ma siły. I że za chwilę i tak to powie: „O'kej, niech pójdzie na śmietnik… jeśli tak".

Jego głoś w słuchawce musiał jednak widocznie zabrzmieć aż nadto żałośnie, rozpaczliwie, błagalnie – a może nawet desperacko, jak u kogoś, kto za chwilę, bardzo wbrew sobie, ale co z tego, gotowy jest faktycznie powalić się samobójczo pod wpływem ataku depresji nagłej i nieustępliwej – bo w odpowiedzi na swoje przecież bezsensowne „naprawdę?", nie usłyszał rzeczowego potwierdzenia faktycznego stanu rzeczy, lecz… odroczenie.

– Ale… może jeszcze poczekajmy trochę – powiedział fachowiec od pośrednictwa w najmie. Niespodziewanie. I niespodziewanie może także dla siebie samego. – Bo choć to mało możliwe, kto wie… może jednak… – Po czym dodał jednak, już bardziej rzeczowo i na temat: – Ale, sam pan rozumie, za długo to już nie może trwać.

Czasu zatem nie zostało już wiele – szafie. I jej dni zdawały się być już coraz bardziej policzone. Mimo to jednak… jeszcze trochę go zostało – czasu – jej. I jemu, który… nie wiedział jednak, co jeszcze mógłby zrobić, żeby uchronić ją przed tym, co wydawało się coraz bardziej nieuchronne. I który właściwie już sam nie wierzył w to, że naprawdę możliwy jest jeszcze dla niej jakiś ratunek.

Mimo to zrobił jednak to, w czym sam nie upatrywał już większej szansy powodzenia – a widział to raczej jako próbę tylko przerzucenia odpowiedzialności za koniec szafy na kogoś innego (i z tego powodu wcale nie było mu lżej na duszy i sumieniu). I nie z własnej woli to zrobił (czym mógł ewentualnie usprawiedliwiać się przed własnym sumieniem: że to nie on sam powziął ten w sumie tchórzliwy sposób, który w istocie mniej był sposobem, a bardziej unikiem po prostu).

– Bo mi też jej szkoda – powiedziała ta, która mu to doradziła. – I już wcale nie dlatego, że poniemiecka i tak dalej. Ona jest po prostu ładna i… ciągle porządna.

Zadzwonił więc z daleka do kolegi, który był na miejscu – tam. Tam, gdzie spotkali się kiedyś pod koniec ich młodości, ale mimo to zdążyli jeszcze zrobić wspólnie kilka rzeczy wciąż jeszcze dość młodzieńczych, czyli beztroskich raczej i mało rozsądnych życiowo, a po czym dzisiaj zostały im tylko – ale też i aż! – dość mgliste wspomnienia, zresztą z czasem nieraz podkolorowane: żeby były jeszcze fajniejsze. I tam, gdzie została także i szafa – w kiedyś pewnie inaczej niż dziś poniemieckim mieście (gdzie to, co wcześniej mogło kursować co najwyżej jako szeptane pogłoski z ust do ust, stało się modnym tematem i coraz bardziej medialnym), a z którego on faktycznie jakby już całkiem się wyprowadził, wybierając nieco inną niż tutejsza codzienność. I jeszcze tylko ta szafa mu została, jakby już ostatnia aż tak jego sprawa – tam. Którą powinien załatwić jak najlepiej. I zrobić naprawdę wszystko, co w jego mocy – w jej sprawie.

– Nie wiem. – Od razu uczciwie wyłożył swój plan – No, nie wiem po prostu. Ale może… może ty byś ją wziął, odnowił czy coś, i nie wiem, znalazł chętnego, albo nawet sprzedał ją komuś: pieniądze będą twoje. Bo mi nie o pieniądze idzie, ale o szafę: szkoda jej… zwyczajnie.

– O'kej – usłyszał w odpowiedzi. – Mogę zobaczyć… – zaoferował się kolega, choć bez entuzjazmu. – Chociaż wiesz,

że ja „w tym raczej nie robię". Ale o'kej. Jeśli tylko będę mógł tam pójść i zdjęcia jakieś zrobić, wymiary wziąć… – Mówił to jednak tonem aż nadto podobnym do tego, którego w rozmowie z nim używał wcześniej fachowiec od najmu. Czyli jak ktoś, kto mimo braku fachowego przygotowania w tym kierunku, musi być też jakby psychiatrą z konieczności: bo rozmawia z kimś jednak nie do końca normalnym – o szafie tak, jakby to o życie czyjeś chodziło… prawie. – I mi też nie o pieniądze chodzi – dodał na koniec, dla jasności.

I oto… niemal natychmiast, bo już następnego dnia rano – stało się coś, co bez większej przesady można by nazwać „no, cud po prostu!". Przyszło jakby zawiadomienie o ułaskawieniu – dla szafy, która właściwie już miała wyrok – a może raczej informacja o skutecznej i udanej adopcji: „Szafa zabrana do nowego domu".

Dobra nowina dotarła do niego w formie najszybszej, krótkiej, ale w pełni wystarczającej – jako SMS. Więc i on ucieszył się na to w odpowiedzi tą samą drogą. „Dzienks. I niech rozsławia imię stolarki przedponiemieckiej" – odpisał od razu. I dopiero potem… odetchnął z ulgą. Głęboko – i od serca. Jeszcze szafa nie zginęła…

A ratunek dla niej nadszedł jakby z całkiem niespodziewanej strony – przynajmniej przez niego. Bo to dziecko tę szafę uratowało. Kto by się spodziewał! Rodzona córka kolegi, który, choć bez entuzjazmu, zaoferował się przynajmniej spróbować pomóc, i to córka, która – kto by się spodziewał! – od lat już nie była tą dziewczynką, która obaj wciąż żywo mieli w pamięci, ale kobietą się stała i jako kobieta… nawet za mąż już poszła. I wyszła z jednego domu, który dotąd był jej domem, żeby pójść do innego – żeby odtąd ten był jej. I to właśnie ten dom okazał się dla szafy „nowym domem", o którym mówiła dobra nowina.

Bo od niej właśnie, od własnej córki, zaczął kolega próbując pomóc jakoś… także szafie. A ona, skoro tylko zobaczyła zdjęcie szafy – i dzięki temu przypomnieć sobie mogła też czasy, gdy przecież na własne oczy ją nieraz widziała, gapiąc się na nią bardziej niż do zeszytu, w którym jakieś zadania z matematyki miała robić, po to głównie tutaj przysłana: żeby „nauczyła się jednak czegoś, żeby nie była w szkole ostatnim tumanem" (jak to wtedy ujął, w słowach dość prostych, ale

przecież i tak pełnych miłości rodzicielskiej, jej tata) – z miejsca postanowiła o jej dalszym losie: bierze ją!

– Jak tylko ją zobaczyła, od razu powiedziała, że bierze. I że bierze od razu, choćby zaraz, już! – Kolega-tata śmiał się, opowiadając o tym, gdy już mieli czas, żeby o tym porozmawiać dłużej. – Podjarana od razu tak, że nie było już o czym gadać…

– Życie jej uratowała… – westchnął na to, zachwycony jej dobrocią i wielkodusznością. – No, Samarytanka po prostu…

– Ale właśnie! – Kolega jakby w ogóle nie usłyszał tych słów, które były albo przynajmniej mogły być początkiem dłuższego (a może i aż za długiego) hymnu dziękczynno-pochwalnego na cześć wielkiego serca jego córki… tak miłosiernej. – Skąd ty w ogóle ją miałeś, tę szafę… w bloku jednak z pe-er-elu – taką poniemiecką? Bo o to nigdy chyba wcześniej nie pytałem. Skąd ona się u ciebie wzięła? Bo była u ciebie niby zawsze, czyli odkąd pamiętam, ale jednak – skądś jakoś, nie?

– Jak? – Uśmiechnął się niby zagadkowo. Po czym dodał, też raczej mało konkretnie: – Od fotografa. Albo już ze śmietnika raczej, albo… od brata właściwie. I z Dworcowej…

I jakby zamyślił się jeszcze, zanim uściślij.

– Albo nawet z banhofsztrase jeszcze…

A poniemieckie słowa powiedział bardzo po polsku: żadna tam *Bahnhofstraße*, tylko właśnie „banhofsztrase".

Po czym dopiero zaczął całą opowieść od początku.

– Bo ona już raz prawie się skończyła. To znaczy, jakiś chyba jednak trochę głupek prawie ją tak załatwił, bo… się nowoczesnością przejął za bardzo. Bo stała sobie spokojnie szafa u fotografa, normalnie i u siebie, już po polsku przecież, wciąż tutejsza tam, gdzie ją jeszcze za Niemca wstawiono i gdzie za Niemca też pewnie był fotograf – i wszystko było o'kej. Trochę biednie, trochę poniemiecko, ale w sumie – mogło być. Ale przyszły wreszcie ponoć lepsze czasy: wolne wybory, wolny rynek i w ogóle – otwarcie na świat. I wtedy właściciel wymyślił sobie chyba, żeby także u niego było „bardziej światowo i nowocześnie". Bo już meble można było nowe łatwiej kupić niż to było wcześniej możliwe, i to „na wymiar" nawet, jak się niejedna stolarnia reklamowała, a powstało ich wtedy od cholery przecież, każdy mógł nagle w stolarce się wybić jako firma, kto tylko pieniądz jakiś miał

na to, mniejsza o to skąd i jak, i jakieś maszyny w miarę jeszcze na chodzie mógł sobie kupić i przynajmniej jednego pracownika, co choć trochę znał się na robocie. I może u takich właśnie nowoczesnych rekinów biznesu stolarskiego sobie te nowoczesne meble zamówił. A szafę jako staroć i przeżytek – po prostu na śmietnik wystawił. Żeby sobie zamiast niej nowe meble z płyty i sklejki wstawić i w ten sposób wystrój zakładu unowocześnić – taką szafę! I zobaczył wtedy tę szafę na śmietniku brat, który wtedy akurat często tam bywał: do dziewczyny chodził. Przez okno ją zobaczyli, na śmietniku w podwórzu. No to niewiele myśląc, chociaż sami nie mieli co z nią zrobić, wytargali ją stamtąd jak śmierci spod łopaty i… potem wciąż nie mieli co z nią zrobić. To mi ją do mieszkania wstawili, które ja wtedy ludziom wynajmowałem, bo jeszcze na studiach byłem w Lublinie. Tak że jak w końcu tu przyjechałem na stałe, ona już tam była – w moim mieszkaniu. Czyli właściwie zamieszkała tam wcześniej niż ja i to nie ona do mnie, ale ja do niej – się wprowadziłem. W 1996 to było, gdyśmy zaczęliśmy tu mieszkać… razem: ona i ja. A zaraz potem… myśmy się spotkali. Dawno temu, nie?

Rzeczywiście i faktycznie, szmat czasu. I wtedy na świecie jeszcze wcale nie było tej, która teraz – występując jako kobieta zamężna, a nie dziewczynka, którą też tymczasem nie wiadomo kiedy przestała być – okazała się dla szafy poniemieckiej siostrą miłosierdzia. Albo może nawet mamą – nową!

– No… – przytaknął mu kolega. – A potem… przyszła IKEA. I też narobiła trochę szkody…

– No… – wszedł mu w słowo. – I niejednego przemieliła. Ale niektórym jakoś udało się jednak ujść z tego młynka… prawie cało.

A mówiąc ze sobą tak półsłówkami, rozumieli się i tak wystarczająco dobrze. Wiedzieli, o czym mówią – mimochodem jakby. I że już nie o szafie mówią… najbardziej. Ale z drugiej strony też jakby nie całkiem o upływającym czasie, albo nawet o czasie, który już upłynął – bo nie mówili o tym przecież wprost. Mówili więc nie tyle „na temat", ale jakby „obok tematu" – mając go jednak na myśli: kiedy i jak to wszystko się stało – i minęło! I właściwie żaden z nich nie był jakoś specjalnie zainteresowany tym, aby ciągnąć tę pół-rozmowę za długo. Bo i po co?

– A, na Dworcowej! – powiedział kolega. – Banhofsztrase. Teraz już wiem, gdzie. Gdzie był ten fotograf, co był tam za Niemca i był tam też potem i, jak mówisz, był tam od zawsze i na zawsze. – I roześmiał się, trochę jak ktoś, kto nie bardzo umie opowiadać dowcipy, bo sam śmieje się z nich, zanim je opowie w całości. – Tam teraz jest kebab! – I powtórzył: – Masz rację, nie ma co: od zawsze i na zawsze.

– To tam był kiedyś fotograf – zapytała, gdy później także i z nią rozmawiał na ten temat, opowiadając dotychczasowe dzieje szafy – gdzie jest ten kebab?

Ona tego już nie pamiętała, dla niej był tam zawsze kebab. A i szafa, którą uratowała przed śmiercią, dając jej nowy dom, w którym dalej będzie mogła być użytecznym meblem, też już nie była dla niej wcale aż tak poniemiecka, tylko po prostu ładna… i dość stara.

– Bo teraz to wszyscy tylko ikea i ikea – powiedziała – i w ogóle nowe wszystko żeby było. A my byśmy chcieli właśnie też takie stare rzeczy mieć. I ta szafa – jest super. I nawet jeśli, to co z tego, że niemiecka! Czy, jak mówisz, poniemiecka: wszystko jedno. Tylko… – I tutaj urwała, jakby niepewna, czy na pewno chce to powiedzieć mu prosto w oczy i tak od razu, zaraz po tym, jak szafa już w jej ręce trafiła. – Bo ja nie wiem, czy tobie to się spodoba – mówiła jednak dalej – i czy byś się na to zgodził, ale… my byśmy chcieli ją pomalować po swojemu i tak dla dzieci trochę jakby" w jakieś kwiatki może, chmurki…

– Od teraz to już jest twoja szafa – odpowiedział jej na to. A zaraz potem dodał, dziwnie uśmiechnięty i udając… no właśnie, nie wiadomo co, aż zdenerwowanie czy tylko zniecierpliwienie: – Sobie ją weź i możesz z nią robić co chcesz. – I choć nie miał przecież pewności, czy dzisiejsza już kobieta na pewno zrozumie, że to cytat z ich wspólnej przeszłości, gdy była jeszcze dziewczynką, dokończył z niby złowrogim uśmiechem: – Jak chcesz, możesz ją nawet zabić!

Uśmiechnęła się na to szeroko. Zrozumiała albo nie, mniejsza o to. On w każdym razie wiedział, co mówi – i skąd. I ucieszyło go, że słowa, które kiedyś sam usłyszał od jej taty o niej, mógł teraz powtórzyć, mówiąc je z kolei do niej – w nowym jednak kontekście. Ale przecież i tym razem też zostały one powiedziane z troską w tle… choć o szafę tylko – i dla jej dobra.

Bo tak mu powiedział jej tata, gdy prosił go kiedyś, dawno temu o pomoc: żeby jej pomóc w nauce, bo ma kłopoty… i nie chce się uczyć. Sobie ją weź i możesz z nią robić co chcesz. A ona… wyraziła na to zgodę prawie ochoczo: że do niego to tak, może pójść, i nawet coś robić… I dlatego chyba, żeby nie myślała sobie, że to aż tak łatwo będzie, dodał tata, oddając mu córkę do obróbki, i te słowa także: jak chcesz… możesz ją nawet zabić. I tak trafiła dziewczynka do niego jakby do szkoły po szkole, tylko dla niej jednej urządzonej. I siedziała potem przy stole w jego pokoju, gdzie pod ścianą stała też ta szafa, i lawirowała jak umiała pomiędzy nauką a nie-nauką, czy to zmuszając samą siebie do cierpliwości czy to testując cierpliwość jego. I gapiła się wtedy często więcej na szafę niż do zeszytu…

A szafa była świadkiem tego wszystkiego – niemym.

Tak jak wcześniej była zapewne świadkiem też wielu innych historii bardziej czy mniej codziennych, po niemiecku i potem także po nie-niemiecku. O których jednak opowiedzieć sama nie mogła nigdy nikomu. Bo była świadkiem zawsze niemym. I bo była szafą jednak… tylko.

– Na pewno będzie jej dobrze – powiedział – u was. Za co z góry w swoim i jej imieniu dziękuję. Krzywdy jej przecież nie zrobicie. A ona u was… kto wie, co jeszcze tu zobaczy – w swoim życiu.

– Ty też. Tam – usłyszał w odpowiedzi.

I spodobała mu się ta odpowiedź. Tak. Bo skoro już było tak, że została wreszcie dobrze zabezpieczona szafa, która zostawała tutaj – wciąż u siebie, bo choć w innym domu, to przecież wciąż w swoich stronach – oddana w dobre ręce, to faktycznie, mógł już jechać stąd ze spokojnym sumieniem – tam. Żeby zobaczyć, co tam zobaczy jeszcze – w swoim życiu.